

Aniela Krysńska

Na zielonej Bukowinie

Bukowina jest naprawdę zielona. To byłoby może najwłaściwsze jej określenie. Bo przecież Bukowina, to ciemna, głęboka zielen lasów porastających góry, to jaskrawy szmaragd łąk, to złotawo-zielone zagony doirzewającego jwaa, to szaro - zielone zamyślenie małych strumyczków, szemrzących cicho między drzewami. Bukowina, zwłaszcza ta jej część „studencka“, gdzie zdala od główne skupiska domów ulokował się prowadzony przez SS. Zmartwychwstanki Dom Wypoczynkowy dla Akademickich, to istic zielona, rozbrykana, beztroska i swobodna pełnego, niczem niezakłóconego odpoczynku.

TAJEMNICE ROZSZERZALNOŚCI

Na zboczach góry wśród łąk przysiadł sobie studencki Dom Wypoczynkowy i stał się w okresie wakacyjnym ogniskiem młodego, beztroskiego humoru. Trudno stwierdzić, jak to się dzieje, ale jasne jego ściany przepojone są jakąś zaraźliwą słoneczną radością, która sprawia, że przebywając tu niezamężne studentki, po wracaniu nie tylko wzmożone na zdrowiu, ale i odrodzone duchowo.

A jak to znów być może, żeby ściany te zdołały pomieścić co rok liczniejszy zastęp studentek, kiedy przecież zdawałoby się, że rozszerzać się nie mogą. Tę „tajemnicę rozszerzalności“ i wiele, wiele innych, rozświetlił by chyba mogła tylko założycielka i kierowniczka tutejszych obozów wy-

poczynkowych, Siostra Emanuela Zmartwychwstanka. Kto chciałby zagadki te dokładnie rozpatrzeć, niech stara się ją poznać, a może wtedy tajemnica ta okaże się po prostu tajemnicą gorącego, kochającego młodzieńca serca.

6-cio letnie już dzieje obozów wypoczynkowych, związane są nie rozerwalnie z osobą S. Emanuela. Od powstałego w 1932 r. obozu w Streszakowej, obejmującego 40 studentek z Warszawy, przez obozy w Kuźnicach i Wejherowie, aż do obecnego bukowińskiego, gdzie przesunęło się zeszłego roku 233 studentki z Warszawy, Krakowa, Lublina, Lwowa i Poznania, wiedzie męcząca, żmudna droga nieustannego poświęcenia przelicznych zabiegów i starań. To też gdy wysoka, ciemna postać Siostry ukaże się na korytarzu, wnet otacza ją roześmiany tłum studentek, wśród których podobno czuje się zawsze najlepiej.

W tej to swobodnej, koleżeńskiejskiej atmosferze, rodzą się wspólnie projekty dalekich wypraw, męczących i niebezpiecznych wspinaczek. Rezultaty ich czasem widzieć można co prawda w... ambulatorium, gdzie niezastąpiona koleżanka Wanda w wielkim białym doktorским fartuchu, opatrjuje z miłym uśmiechem nadwyróżnione nogi, niezmordowanie rozdaje rady i medykamenty. Ale to nie nie szkodzi. Nawet zalewając jodyną najgorsze obtarcia, nuci sobie cichutko uparte pacjenci popularną piosenkę.

„Jak dobrze nam zdobywać góry“.

Podobno góry mają być martwe i nieme. Tak opowiadają nawet niektórzy naocni świadkowie. Cóż jednak poradzić na to, że góry gadają, a nawet śpiewają przelicznymi strumyczkami i wodospami.

MOWA PORANKU

Wystarczy wstać tylko rano i podejść do okna, aby usłyszeć niosący się po rosie srebrzysty, kryształiczny poszum, jakby słodkie i łąki śmiały się z czegoś radośnie.

Nie sposób oprzeć się takiemu wołaniu. Trzeba szybko przetrzeć rozspane nieco oczy i choć na chwilę wybiec w góry. W dole góry spowinięte są jeszcze w leciuchach, białą mgiełką, oświetloną z wierzchu słońcem, a w górze wznosi się głęboką kopułą, przeczczysty jasny błękit, w którym dzwonią srebrzystą pieśnią skowronki. Tak góry śpiewają swoje „Ave Maria“, tak mówi, śpiewa,

po krzyku z radości świeży górski poranek.

Ale już czas wracać. Już słychać zdaleka dźwięk dzwonka, zwołującego na mszę św. Za chwilę skromne, bielone mury kapliczki Domu Wypoczynkowego, rozbrzmiają jednolitym, mocnym chórem recytowanej mszy św. — „In troibo ad altare Dei, ad Deum qui laetificat iuventutem meam“ (przystąpię do ołtarza Boga, który rozwesela młodzież moją). Tymi słowami, słowami radosnej nadziei przemawiają młodzi katolicy polscy do Boga, który rozwesela młodzież moją. Tymi słowami, słowami radosnej nadziei przemawiają młodzi katolicy polscy do Boga, który rozwesela młodzież moją.

Najgłębsza wewnętrzna treść obozu jest oczywiście katolicka. Taki ton nadał jego kierowniczka, taki też nastrój wprowadzała liczne przedstawicielki stowarzyszeń katolickich. Są tu i „Lu-

ventusiaczki“ szukające podstaw wiary i światopoglądu w wiecznie młodych słowach Ewangelii, są i „Kamieniarki“ usiłujące w swej Katolickiej Młodzieży Narodowej wychować pełnego, wszechstronnego człowieka myśli i czynu, umiającego w każdej sytuacji zająć jedynie słuszne stanowisko Katolika i Polaka, są także i oddane kultowi Marii, życiu wewnętrznemu Sodalisci. Tu, gdzie spotykają się członkinie różnych ugrupowań, różnych środowisk akademickich, gdzie Lwów przyjaźni się z Warszawą, a Kraków konferuje z Lublinem, rodzą się liczne ciekawe dyskusje, powstają pomysły i projekty, rozwija się to, co zwykliśmy nazywać odrodzeniem katolicyzmu w Polsce, a co przyrównać można słusnie do świeżego, czystego górskiego poranka. Niedługo wszyscy rozjadą się do domów, ale z wspólnych rozmów zrodzi się, być może, poczucie mocnej jedności i wspólnoty ideowej, z gorących słów i myśli powstanie zwycięski młodzieńczy czyn.

O CZYM SZUMIAŁA BIAŁKA

Białka odgrywa w życiu obozu poważną rolę. Tu jest przecież jedyna plaża na szarych wygrzanych od słońca kamieniach, tu dobrze poszukawszy odpowiedniego miejsca użyć można nawet kąpieli. Ta mała, wesoła, pusta

napozór rzeczka ma jakiś dziwny urok a może umie rzucać uroki. Jak stara wróżka cyganich z pobliskiego cygańskiego koczowiska, gotowa godzinami opowiadać o tym co było, jest i będzie, głądzić, śpiewać i nudzić, tym się tylko od tamtej różniąc, że zawsze mówi prawdę. Tak wiele rzeczy zobaczyć można i usłyszeć w szumiącej po kamieniach Białce. — Oto ocieniona z przeciwnych stron porośnięta świerkami górą, przypomina mroczne głębie widzianego niedawno Czarnego Stawu... to znów wśród szumu wody dolatują jakby strzęp śpiewanej przed kilku dniami przy ognisku wesołej harcerskiej piosenki... a tam dalej woda tak szybko bieży pośród wielkich ciemnych kamieni, jakby przypomniała sobie, że czas szybko leci i tak już niedługo powracać trzeba będzie do dusznego, szarego miasta. Ale dosyć! Kto tam słuchał takiej płochy, swawolnej rzeczki, jaką jest Białka. Przeszłość i przyszłość zapadła się bezpowrotnie w mroczny krąg niepamięci, pozostaje tylko jasne, rozświetlone, wszystko sobą przesłaniające teraz. Gdzieś z ukrytej za drzewami drogi dolatują słowa śpiewanej przez powracających wycieczkowiczów obozowej piosenki:

„Na zielonej Bukowinie
Gdzie studencki żyje lud
Życie nam beztrosko płynie
Nie zagląda w oczy głód“.

Zona wygrana na loterii

W miejscowości francuskiej Dijon, obchodziło jedno z małżeństw swoje złote wesele, po szczęśliwym pięćdziesięcioleciu pożyciu. Wprawdzie małżonkowie mieszkają stale w Anglii, na ten jednak uroczysty dzień przybyli do Dijon, gdzie stało właśnie przed pięćdziesięciu laty zawarte ich małżeństwo.

Piękna młoda Francuska, Maria Bastide, miała ciężką młodzież. Ojciec jej zginął w nieszczęśliwym wypadku, matka schorowana nie mogła pracować, młodziczka Maria od najmłodszych lat zarabiała na siebie i na matkę. Lecząc o zarobek było coraz trudniej. Maria wpadła na niezwykły pomysł — urządziła loterię, mającą zasilić akcję jej matki, a jako główny fant wyznaczyła — sama siebie. Loteria cieszyła się niezwykłym powodzeniem. Żywy fant, w postaci pięknej Marii — wygrał ów Anglik, który w owym czasie bawił u

swoich znajomych z wizytą w Dijon.

Wysoko dzentelmeński Anglik zrazu był skłonny zrezygnować z małżeństwa z panną, której wcale nie wiedział, a która w tak dziwny sposób została dobrowolnie wyznaczoną mu na małżonkę. Lecząc Maria stała na stanowisku, że zobowiązania swego „loteryjnego“ musi dotrzymać. Gdy się spotkali — dzentelmeński Anglik wiele się nie namyślał. Maria piękna, subtelna oraz posiadająca wielki urok z miejsca podbiła serce złotego Anglika.

Jak szczęśliwie żyli, dowodem tego jest uroczystość złotego wesela. Całe miasto Dijon brało udział w tej uroczystości, tym więcej niezwykłej, że było ono następstwem „loteryjnego przypadku“.

CHÓR DAMSKI „TROJKA“, IWONKA LANDOWSKA, BALET „JUTRZENKA“ KATIA ZIELIŃSKA I ANTON TAWADSE zapraszają na KARNWAŁ SEZONOWYCH WODOWICÓW do Winiarni **KAUKASKIEJ** „CAVEAU CAUCASIEN“ Jasna 5 DANCING do RANA — Ceny niskie

Widowiska w stolicy

Opera Ludowa

Kiedy w roku 1934 z inicjatywy obecnego dyrektora p. St. Narocz - Nowickiego powstał dziwny twór muzycznego teatru pod nazwą „Polskiej opery Ludowej“, nikt nie przypuszczał, że nowa ta i wysoce pożyteczna placówka, rzucająca wzniosłe hasła krzewienia kultury muzycznej, w szczególności Polskiej, wśród najszerzych warstw społeczeństwa naszego, przez urządzanie koncertów i widowisk muzycznych na piyeriach m. st. Warszawy i prowincji, oraz stworzenie warsztatu pracy młodym, uzdolnionym i bezrobotnym artystom, nie mającym możliwości występowania na nielicznych scenach operowych w kraju — utrzyma się przez dłuższy okres czasu.

Tymczasem, po czteroletnich zmaganiach się z piętrzącymi z dnia na dzień trudnościami, (zwłaszcza natury finansowej), dzięki poparciu P. Prezydenta R. P., Ministerstwa Opieki Społecznej i potrosze... władz teatralnych, Opera Ludowa posiada dziś własną orkiestrę, amatorski chór, balet, stałego kapelmistrza oraz dysponuje licznymi solistami. Repertuar obejmuje szereg oper i baletów łatwo dostępnych dla przeciętnego słuchacza.

Ostatnio, z okazji „Święta Morza“ wystawiono w „Teatrze na wyspie“ w Łazienkach jednoaktową operę St. Moniuszki „Flis“, oraz jako dodatek: „Wesele na

wsii“ z muzyką Stefaniego, „Bajkę“ Moniuszki, i „Divertissement“ tańców polskich, w niezłym układzie Z. Żadejki.

W charakterze solistów wystąpili pp.: Irena Gieraltowiczówna (Zosia), St. Narocz - Nowicki (Franek), Mikołaj Winel (Antoni), Michał Zagraj (Szóstak), Józef Kalinowski (Feliks) i Cezary Kowalski (Jakub).

Zwłaszcza ten ostatni, wykazał nie tylko dobrą technikę wokalną, lecz i dużo naturalnej swobody w grze i mimice.

Chór i orkiestra za mało dźwięczne i nota bene nie na poziomie.

Kapelmistrz p. S. Czosnowski musi koniecznie pomyśleć o estetyce ruchów rąk, oraz nie pozwolić zanadto huczeć perkusji (bęben, talerze), która w pewnych naprawdę ważnych momentach, zagłuszała nie tylko „drzewo“, a co najważniejsze — kwartet smyczkowy.

Inscenizacja p. St. Narocz - Nowickiego poza małymi usterkami (zwłaszcza w scenach zbiorowych) — na ogół udana.

Mimo gorącej sympatii, jaką obdarzamy tę pożyteczną placówkę, pozwolimy sobie zauważyć pod adresem Dyrekcji, by w przyszłości zwróciła większą uwagę na poziom artystyczny widowisk, gdyż ostatnie wystawienie „Flisa“ pozostawiało pod tym względem dużo do życzenia.

B. Lewandowski

Pomnik z wcięstwa Italii



Wiceminister Teruzzi dokonał inauguracji nad jeziorem Tana w Abisynii monumentalnego pomnika, ku uczczeniu zwycięstwa

Włoch nad Etiopią.

Na zdjęciu — moment odprawiania Mszy św. u stóp odsłoniętego pomnika. Na pomniku: rzeźba — symbol Abisynii — lew Judy — przesyty szyćletem.

ARMIN O. HUBER

57)

LUDZIE I ŻYWOŁY

Powieść współczesna z Dzikiego Zachodu

Kościeszka przy pomocy robotników, którzy porwali jego odwaga staneli obok niego do niebezpiecznej pracy, ratuje tamę. Nazajutrz zjawia się na brzegu Loni Jansen. Kościeszka zaprasza ją na kolację.

Robiła wrażenie bardzo poważnej, niemal przygnębionej. Zdawało mu się, że zgadł przyczynę takiego stanu — z pewnością Old Bill posłał ją na przespiergi i właśnie to zadanie sprawiło jej wielką przykrość.

Kościeszka dokładał wszelkich starań, by zachować nieprzymuszoną swobodę: opisał zajmujące wypadki, towarzyszące powodzi, skreślił barwny obraz zmagania się garstki ludzi z rozszalałym żywiołem.

Słuchała w milczeniu i tylko od czasu do czasu obrzucała go szczerym spojrzeniem. Wreszcie powiedziała:

— Rozumiem ludzi pańskiego pokroju, panie Kościeszko. Takie natury czują się dobrze jedynie wtedy, gdy mają do wykonania wielkie, niecodzienne zadania, połączone z twardą, niebezpieczną walką. Z pana byłby na pewno doskonały badacz i podróżnik. W celach naukowych, oczywiście. Jestem przekonana, że pan obchodziłby się przyzwyczajając z krajozłotkami, z tak zwanymi „dzikusami“. Szkoda, że pańskie upodobania idą właśnie w kierunku budowy maszyn...

— Przepraszam, panno Jansen — sprostował, — występuję obecnie jako inżynier dróg wodnych.

— Dla mnie zapory wodne i mosty są również maszynami — odparła poważnie. — Ale nie mówimy o tym, bo w tych sprawach nigdy nie dojdziemy do porozumienia.

— Dlaczego? — zapytał z uśmiechem i spojrzał badawczo na dziewczynę.

— Dlatego... dlatego, że zielony kolor nie może się pogodzić z czerwonym.

— O, nie, panno Jansen! Czerwony ostrzega przed niebezpieczeństwem, a zielony wskazuje, że droga jest wolna. Doskonale się zgadzają, tylko ludzie patrzą na wiele zjawisk zbyt jednostronnie. Do wszystkiego jest jeden klucz i nawet tacy przeciwnicy, jak my oboje, możemy przy odrobienie dobrych chęci znaleźć coś wspólnego. A z tego też może być pożytek.

Loni Jansen westchnęła.

— Pożytek... — powtórzyła przeciągle. — Wciąż w panu przemawia inżynier, szukający we wszystkim pożytku... Pan patrzy na piękny wodospad i oblicza, ile to może dać silników. Fiord jest dla pana projektem portu. Ład przedzielony wodą, kojarzy się w pańskim umyśle z mostem. Widok lasu nasuwa panu rozważania o tartaku. Jednym słowem — inżynier z powołaniem, inżynier w każdym calu. Rozkopac góry, zorać ziemię, przetrzeć lasy, uregulować rzeki, krótko mówiąc zmienić naturalne oblicze przyrody. Indianie żyją przeważnie w pogaństwie, choć duchem i czynami są bliżsi prawdom ewangelicznym niż większość chrześcijan, a pan ich też chce przekabacić na swoją modłę niosąc cywilizację... tak zwaną cywilizację, bo tylko zewnętrzną, ale nie zwraca pan uwagi na to, że dla nich jest to równoznaczne z całkowitym zdeprawowaniem.

Kościeszka słuchał z lekkim zdziwieniem. Nie dostrzegł w dziewczynie cienia wyniosłości — była bardzo miła i prosta. Nie przyszłoby mu nigdy na myśl podejrzać ją o ukryte zamiary, i gdyby nie podsłuchana rozmowa, nie uwierzyłby, że jest do tego zdolna. Więc była w najwyższym stopniu wyrafinowana i przebiegła, albo...

Tego drugiego przypuszczenia nawet w myśli nie ubrał w słowa.

Czy rzeczywiście uznawał i liczył się tylko z tym, z czego można było wyciągnąć jakąkolwiek korzyść?.. Mniejsza z tym czy osobistą, czy ogólną — jej słowa sprawiły mu przykrość.

a gdy pomyślał, że jednak w nich jest sporo słuszności, uczuł się nawet urażonym.

— Można pomyśleć, że pana razi wszystko, co jest naturalne — podjęła Loni Jansen. — Czy pan jest taki sam w stosunku do ludzi? Ciekawam, co by pan zrobił, gdyby spotkał kobietę, która by się panu spodobała?

Był już rozgoryczony, więc odpowiedział szorstko:

— Przekonałbym się przede wszystkim, czy ta kobieta jest szczerą. Gdyby się okazało, że nie udaje i jest rzeczywiście szczerą, to byłbym bardzo zadowolony, ponieważ mógłbym liczyć na jej pomoc w swoich sprawach.

Uniosła brwi.

— Więc widzi pan — wtrąciła z uśmiechem — znów ten sam pogląd: ocena ludzi pod względem przydatności...

— Ach, mój Boże! — przerwał trochę rozniewany. — To już jest podstęp, panno Jansen! Pani mnie łapie za słowa. Zdawało się, że puściła mimo uszu tę odpowiedź.

— Czy pan mnie też uważa za nieszczerą? — zapytała nagle.

Stracił cierpliwość, tak dalece uważał to pytanie za szczyt bezcelności.

— Panią?... — powtórzył. — Tak!

— Dlaczego?

Miał wrażenie, że nie była bardzo ciekawa, jak on uzasadni swoje twierdzenie, w każdym razie wykazała wyjątkowe samoopanowanie.

— Bo tak jest, panno Jansen! — odparł podrażniony.

— Odpowiedz dziwna i niezrozumiała, panie Kościeszko...

Siedzieli jeszcze przy stole.

Kościeszka wstał i zaczął się przechadzać z kąta w kąt. Założył ręce w tył, ciągle poruszając palcami jak stary, rozniewany profesor.

Przyglądała mu się z ledwo dostrzegalnym uśmiechem. Nie widział jej, lecz czuł, że nań patrzy z wyrazem „bezwstydnej wyniosłości“. To go zupełnie wytrąciło z równowagi. Zatrzymał się przed dziewczyną i powiedział głosem drżącym ze wzburzenia:

D. c. n.